Rozmaitości

Dnia 17. Czerwca — Nr 24. — 1837 Roku.

KWESTYJA
O WILCZY-DOŁEK.
Wydarzona w r. 1706.
Z księgi, pod nazwą Wilia, wypisał
JADAM Z ZATORA.

Godziło się i dawno onę historyję, co w Frydrychowicach przed wiele laty wydarzyła się, umieścić w księdze memoryjałów. Co gdy omieszkali przedniejsi, alić nawet i Chmielowski, człowiek nie źle uczony, w swoich *Nowych Atenach* nie pomieścił, ja, acz żaden Górnicki, jakem słyszał, tak prostackiém piórem opiszę, ku pamiątce tym, którym się dostanie w ręce.

Owóż od tego zaczynam nowy ten *kapituł:* Jużto nie nowina, wioska o kilku panach; stary obyczaj to miał z sobą, iż każde dobre ojczysko, przenosząc się na tamten świat, miało na pilném baczeniu, iżby puścizna, co zostawia po sobie, równo rozdzieloną została między potomki po mieczu, a ile synów jest, iżby żaden w dziedzictwie nie był skrzywdzon; a równą z drugimi otrzymał cząstkę.

Temuto zwyczajowi, który dobry jest i chwalebny, chociaż nie jedno złe sprawił, przypisać, iż włość Frydrychowice do księztwa Zatorskiego należąca, za Bolesławów onych bezchybnie jednę dziedzinę stanowiąca, dzisiaj kilkunastu ma panów i różnego nawet imienia. Wszystkich tu nie wyliczę, ile że poczet byłbyto za długi. Blizkie takie sąsiedztwo, niepewne granice, nie mogły nie stać się powodem do sporów; kłótnie, niezgody i najazdy nie były tam nowiną. Wodziła się szlachta po ziemstwach, grodach i trybunałach, sprowadzała komisyje, wizyje i nie pomału zatrudniała zacny urząd podkomorski. A był tam pan Jan Chebda, pisał się z Tropia, a pieczętował Pomianem i dzierżał wójtostwo w Frydrychowicach. Pola jego stykały się z polami pana Frydrychowskiego, także jednéj ćwierci wioski dziedzica. Niespokojnego umysłu byłło człowiek ten pan Chebda i pieniaka kawałek. Rad szukał sprzeczki, aby się pieniać mógł, bo to był żywioł jego; siedząc spokojnie tęskno mu było.

Urościł on sobie jakieś prawo do *Wilczego-dołu*, tak się nazywało stajanko trzęsawicy, które pan Frydrychowski (jako człek gospodarny i zapobiegliwy) wykarczował z pniaka, ubiwszy rowy, wysuszył i nowiznę zasiał owsem. Wilczy-dołek, jakem namienił, dotykał się gajów Chebdówki. I nie rzadko zdarzyło się, że która krówka Chebdowska z przyległego gaju wypadła na to trzęsawisko, gdzie bujniejsza rosła trawka, i pasła się.

Na tym tedy fundamencie gruntował pan Chebda swoje prawo do wspólnego użytkowania Wilczego-dołku.

W palestrze będąc czas niejaki, liznął był nieco łaciny i jurysteryi. Zaciągnąwszy wreszcie rady w téj mierze od przyjaciela, niejakiego pana Czernego, *susceptanta* ziemskiego zatorskiego, którego maxyma była: *Melior est conditio possidentis*,*) zaczął nasz Chebda dybać na okazyją wywarcia aktu posesyi; tym końcem zalecił podstarościemu, ażeby Wilczego-dołka nie spuszczał z oka, a skoro owies dojrzeje, dał wiedzenie jemu.

Pewnego tedy wieczora, po nakarbowaniu pańszczyzny, wydanych obrokach, pośladach i dyspozycyjach na dzień jutrzejszy, odeszła czeladź, jedno podstarości został, z którym pan Chebda długą odbywał konferencyją.

*) Toż po polsku: *Czyja kosa pierwsza, Tegoż łąka szersza.*

Dobrze już było na noc, kiedy na podworcu zaczęła się zbiérać gromada, uzbrojona w pałki, kosy, grabie. Wnet przyczołgał się na ganek sam Chebda, ile, że dla podagry o lasce chodził i przy pomocy hajduczka.

Na widok pana uciszył się gwar, odsłonięto głowy i baczne nastrojono ucho. Ciekawość tłuszczy, nie wiedzącéj jeszcze o zamiarach Chebdy, a przeczuwającéj coś nadzwyczajnego, posunięta była do wysokiego stopnia.

Chebda, zażywszy tabaki, zaczął do zgromadzonych *circiter* w ten sens:

»Jestto prawem opisane boskiém, a ludzkim po wszystkiéj ziemi adoptowane obyczajem, iż jako głowa do wielkich zamysłów sposobna i stworzona, własną kieruje się *impreza*, od innych członków żadnych nie przyjmując *ordynansów*; owszem, gdzie swoję wolę obróci, tam obracają się wszystkich jéj poddanych członków *inklinacyje;* tak na podobieństwo tego, dzieje się w królestwach, w obozach, w domach i dworach. Głowa dworu jest pan; pan przodkuje podwładnym, a do któréj myśl pana zmierzy strony, do téj życzliwe czeladzi i poddanych *akkomodują* się *intencyje*, właśnie jakoby koła wozu, którym woźnica nadaje kierunek, widząc cel i drogę ku niemu, któréj koła nie widzą, wszelako idą nią... Macie tedy wiedzieć moję wolę i wypełnić ją, jak Bóg przykazał, gorliwie, ochoczo i prędko. Nie ujmuję ja (broń Boże) panu Frydrychowskiemu jego godności, każdemu, co się godzi; ale wara, niech mi się nie wdziéra, niech sobie nie przywłaszcza tego, co nie jego... Krótko mówiąc: *kwestyja* tu *o Wilczy-dołek.* Niepraktykowaną do tych czasów zuchwałością poważył się pan Frydrychowski *uzurpować* prawo, którego nié ma, i gospodarzy sobie na onéj trzęsawicy, jakoby we własném... Hola mospanie! nie dam sobie grać na nosie, i położę tym butnościom tamę, ażeby tak nie było, jakto mówią: *Dozwól kurze w grzędy, pójdzie do arendy...* Słyszeliście, wiécie o co *kwestyja*, nie o co innego jedno o Wilczy-dołek, który z dziada, pradziada mnie się patrzy. Mój *adwersarz* dozwolił sobie gwałtu, bijąc rowy, karczując pniaki, karczowisko ono zasiewając owsem, niepraktycznego gwałtu się dopuścił, ja przeciwnie, mocném obwarowany prawem, prostéj trzymam się drogi, i mocnym jest jako ów Samson, bo przy prawie, tym *filarze własności*, stoję. Wy wszyscy, com was tu zgromadził, dopomóżcie mnie pokrzywdzonemu, dopomóżcie błagam was, pod surowémi karami rozkazuję. Waści, mości podstarości powierzam kierunek całéj téj *procedury*, a tuszę o pomyślnym téj sprawy *sukcesie.* Owies już dojrzewa, mamże zaspać gruszki w popiele? i czekać dopóki Frydrychowski, *usurpator* Wilczego-dołka, do swojéj zwiezie go stodoły, a potém chlubić się będzie przed światem, z wygranéj. Nie doczekam tego sromu, téj krzywdy, złemu w czas zapobiegając. *Ergo*, jednem słowem, owies w pokosy i na wozy, nie dzieląc na poły, do mojéj stodoły.«

Kiedy skończył pan, gromada wykrzyknieniem dała oznakę swojéj gotowości i ochoty do drogi. Podstarości dosiadł konia, a za nim cała tłuszcza w bezładnym szyku i z nie małą wrzawą biédz zaczęła.

Chebda, posiedziawszy chwilę, gwizdnął w piszczałkę, którą miał na sznurku przy sobie zawieszoną. Wnet pojawił się chłopak i zawiódł pana do izby. Chebda układł się na łożu, pocałował szkaplérz i zaczął odmawiać: »*Ojcze nasz, któryś jest, święć się imię twoje, bądź wola twoja, jako w niebie tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy...*«

»Nie odpuści, nie odpuści winy,« odpowiedział jakiś głos z izby.

Przestraszony panek niepomału, przerwał modlitwę, natężoném uchem i okiem patrzył, słuchał, czekał.

»Panie Frańciszku,« znowu się odezwał głos, »gdybyście mnie spytali, jabym był wam rzekł: »»Nie czyń bliźniemu tego, co tobie nie miło; nawarzycie piwa, a gorzkie wam będzie.««

»Ej bizona miał Jegomość,« rzekł na to Chebda, rozpoznawszy głos znajomy Jezierskiego, szlachcica starego, który na łaskawym chlebie zastawał w jego domu, nibyto szlachcic na respekcie. »Jegomość mnie przestraszył,« rzecze, »jużem mniemał, że to duch jaki przemawia do mnie.«

»Na złodzieju czapka gore,« odrzekł szlachcic, »bodajto sumienie czyste!«

»Sumienie u mnie czyste, jak tego potrzeba, mam prawo za sobą, i gdy padnie stanąć przed kratą, rozmówię się z panem sąsiadem po łacinie, a potém się pokaże, *quis melius?*«

»Dla tegoć właśnie,« rzekł szlachcic, »lepiéj było nie obciążając sumienia, wprzódy się rozmówić. Frydrychowski to dobre człeczysko, nie zamącił nikomu wody. Owóż trzeba było to zdać na *compromis*; uproszone przyjacioły byliby roztrzygnęli te *kwestyje* i rozwiązali, niktby na tém nie szkodował. Teraz trudna sprawa, wasze nie wykręcisz się sianem, jakto mówią, za moich czasów była mowa: *male parta idą do czarta*, a z resztą nie mówiszto przykazanie boskie: *Nie pożądaj ani konia bliźniego twego*, *ani osła*, *ani żadnéj rzeczy*, *które jego są*.«

»Ja też nie pożądam żadnéj rzeczy, które jego są, odparł żywo Chebda. »Wilczy-dołek, to moja własność, *ergo* i zbiór z niego, mnie się patrzy.«

»Jezeli tak jest, rzecze szlachcic, »to pytam się, czemużto wasze milczkiem? czemu po nocy? czemu taką hurmą ubrojoną w pałki i rusznice odbywasz to żniwo? To jest gwałt, gwałt nie chodzi w sprzęży ze sprawiedliwością. Waścin podstarości, *subjektum* to ladaco, słowem, burda jakich szukać; jemu pozwolić strzelby? to jedno co szalonemu dać kij do garści. A nuż (czego Boże zachowaj!) wystrzeli i porani kogo, kto będzie pokutował za to; kto płacił grzywny? jużci nie ręka, ale głowa, tą głową jesteś waść. Panie Frańciszku! uderzcie się w piersi panie Frańciszku; ale pacierza daremnie nie mówcie, dzisiaj wasze głosy nie pójdą pod niebiosy.«

Chebdzie przebrała się miarka cierpliwości, zapyrzony od gniewu, zawołał: »Oj dopókiż tych kazań! Jegomość mi się rozgadał széroce; Jegomość mi się rozpiera bardzo. Kaznodziei nie potrzebuję w moim domu; do kościoła z kazaniem; proszę kogo... jaki mi moralista. Nie odstąpię od mego ani piędzią. Słyszał Jegomość, tych *perswazyj* mam dosyć, bardzo proszę; bo pomimo szacunku jaki mam dla wieku Wasana, gotowym się zapomnieć, i na to mówiąc rzec: jeżeli się nie podoba Waści, to fora z dwora.«

Starowina zmieszany, nie wiedział co na to rzec. »Mniemałem,« rzecze po chwili, »że rada moja nie pogniewa pana Frańciszka, bo widzi Bóg serce ją dyktowało. Ale kiedy tak się rzecz ma, to już milczę.«

I powiedziawszy dobra noc, poszedł sobie. Chebda nie bez tego, iżby nie był wzruszony tą pokorą staruszka; przykro mu było, że tak ostrze ofuknął go; ale pomimo tego zasnął, jak gdyby nigdy nic nie było. Alić ledwie zasnął, jakieś widziadła dziwne, jakaś wikłanina pojeć, krzyżów i mar zaczęła się przesuwać wedle niego.

Zbudził się, przetarł oczy, a przekonawszy się, że to wszystko sen, gwizdnął na hajduka.

»No, cóż tam!« zapytał, »wrócili już; sprawili się gracko?... gdzie podstarości? wołaj go do mnie.«

»Jeszcze nie wrócili,« odrzekł w pół spiący chłopiec.

»Do bizona! coś za długo mi bawią, to nie bez kozery; otwórz okienicę, czy już świta?«

»Zaczyna świtać.«

»Idźże, otwórz i okno, duszno w izbie.«

Ledwie co wyszedł hajduczek, jużci lizie do izby stary Jezierski.

»Do bizona! co widzę; Jegomość już na nogach; ranne ptaszę z Jegomości.«

»Nie lubię długiego legania w łożu, więc obułem bóty i wstałem, zwłaszcza żem zasłyszał piszczałkę waszą. Dzień wam dobry panie Frańciszku. Jakże się spało?«

»Lepiéj byłoby się spało, gdybym był Jegomości wczora zaraz prosił o przebaczenie.«

»Jakie przebaczenie?«

»Jakże, nie gniewa się Jegomość na mnie?«

»Jabym się miał gniewać na pana Frańciszka, nigdy, przenigdy; człek taki jak ja, nad grobem już stojący, kiedy nie wié, czy doczeka jutra, możeż z gniewem w sercu kłaść się do łóżka?«

»*Ergo*, zgoda z nami; proszę Jegomości o rękę, a ja zamiłuję się Bogiem, że nigdy więcéj podobne słowo nie wyjdzie z ust. Dajmy już temu pokój; raczéj powiédz mi Jegomość, co to ma znaczyć, że do téj pory ich nie widać.«

»Ja się jeno boję, ażeby ten waścin podstarości nie narobił jakiego licha z tą strzelbą.«

Kiedy to domawiał szlachcic, dało się słyszeć puknienie wystrzelonéj strzelby gdzieś daleko.

»Słyszał Jegomość?« ozwał się Chebda do szlachcica, który w starości miał słuch przytępiony.

»Cóż takiego?... może wystrzeliło?«

»Nie inaczéj, coś strzeliło?« Szlachcic się przeżegnał; słowa nie rzekł na to.

Chebda gawędził jeszcze jaki kwadrans, kiedy owóż zadudnił dziedziniec i przed ganek dworu zajechał czterokonny wóz, wkrótce przypędził i podstarości; z trzaskiem wbiegł do izby; napyrzony, z-ziajany i zbłocony po uszy, aż okropa brała patrzeć na niego.

»Na miłość Boga, gadajże waść. Jakże udało się wam? Gdzież wozy z owsem? cóż znaczy garstka zgniłego słomska na tym wózku przed gankiem?«

Na te zapytania mój podstarości ochłonąwszy nieco, jął się dopiéro do opowiadania, które naszpikowane częstym Mospankiem, Jaśnie-panem, Bodaj-cię, zawiérało, co tu w krótkości opowiém:

Udała się rzeczywiście nocna ta kośba, nie doznała żadnéj ze strony przeciwnéj przeszkody. Pokos owsa co tchu grabiami zebrany w kopy, z kopy na wóz. Ledwie co był na wozie, podstarości rozkazał pędzić do domu, co konie wyskoczą. Jakoż i pędził fornal. W szalonéj takiéj jeździe po dziurach i wertebach, jeszcze w nocy, nic dziwnego, że i wywrócił, i z wysokiego brzegu przewaliła się cała kopa z wozem do rzéki w przepaść. Podstarości tuż na koniu pędzący, widząc to, jak nie zacznie klnąć, jak nie zacznie okładać fornala, ledwie się wyrwał chłop z takiego objęcia, wziął nogi za pas, odbiegł i wozu i koni.

(Pokazało się potém, że fornal ów, rozłoszczony na podstarościego, pobiegł prosto do dworu pana Frydrychowskiego i tam narobiwszy gruchu, doniósł o wszystkiém.)

Koniec końców, kiedy podstarości po półgodzinnéj pracy wydobył z wody i błota ledwie trzecią część owsa (resztę uniosła rzéka ku Wilczemu - dołku) i zdobycz swoję prowadził do domu, zasłyszał tętent jadących za sobą na drodze, posłyszał i wołanie: »Stój! Stój!« Podstarości w strachu (na złodzieju czapka gore); nuż do strzelby, i nie pytając odwrócił się i wystrzelił...

Wystrzałem tym dokazał tyle, że nieprzyjaciel przestraszony, widząc, że to nie przelewki, zaniechał dalszéj gonitwy.

Podstarości, nie turbowany więcéj, przyprowadził szczęśliwie zdobycz swoję do dworu. Kończył opowiadanie podstarości przechwałkami, że walnie się spisał, a skórka na bóty Frydrychowski, z Wilczego-dołka ani dźbła suchego nie liźnie.

»I my,« odparł na to Chebda, »nie zebraliśmy tak bardzo sucho, jakby należało; to zbłocone słomsko nie zda się, chyba pod bydło, do gnoju; ale to mniejsza... o punkt honoru tu chodzi, nie o podłe zyski; z resztą cel osiągnąłem; nowe mam *ponderosum argumentum* mojéj Wilczego-dołku *posesyi*. Dobrześ się waść sprawił, kontent jestem z wasana, nie omieszkam przy okazyi pamiętać. Teraz idź wasze, odpoczniéj sobie, a tym co byli na téj wyprawie, nakarbować po dniu całym.«

»Cóż Jegomość na to?« przemówił Chebda do starego Jezierskiego.

»Kto ja?« zapytał szlachcic, pukając palcem po próżnéj tabakierce; »ja grzesznik nie sądzę równego sobie. Ale ten,« i wskazał ręką do góry, »będzie sędzią w téj sprawie!... Czy mi się zdaje, coś dzwoni?«

»Dzwoni, chyba w uszach Jegomości!« odparł Chebda, bo już zaczynał się gniewać na staruszka, za wzmiankę o przedwiecznym sędziu.

(Zaiste, niepewna twoja sprawa, o człeku! jeżeli na samo wspomnienie o sądzie już się wzdrygasz? a cóż dopiéro będzie, kiedy staniesz przed nim!)

To *intra parentesim* powiedziawszy, dalszych wypadków czynię relacyją:

Byłoto około południa. Przyjechał konny jakiś, konia uwiązawszy u kółka, walił prosto do dworu.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

»Na wieki,« odrzekł Chebda. »A zkąd wasze? z jakim interesem?« zapytał, sądząc z delikatnéj twarzy i ubrania, że przybylec zakrawa na panicza.

»Jestem ci wysłan od tatunia, od pana Frydrychowskiego.

Chebda to słysząc, zaindyczył się okropnie, a nadął jak półtora nieszczęścia.

Panicz nie uląkł się strasznéj jego miny i swoję rzecz gadał śmiało, i jak na młodzianka, który *alwaru* jeszcze nie skończył, dosyć rozumnie: »Tatunio kłaniają się panu sąsiadowi i mają prośbę.« Chebda zbutniał jeszcze więcéj na to słowo prośba... »Mają prośbę do pana sąsiada, abyście byli tak dobrzy i nawiedzili go dzisiaj. Tatunio życzą sobie tego bardzo, ażeby się pogodzić mogli z panem sąsiadem.«

»Co, ja mam jechać do niego? nie pojadę!« odrzekł z gniewem Chebda; »równa jemu droga do mnie.«

»Ale bo tatunio kazali powiedzieć panu sąsiadowi, że są chorzy, sami nie mogą.«

»To nié ma nic do tego, poczekam aż wyzdrowieje, nie pali się przecie?«

»Ale tatunio kazali pięknie prosić pana sąsiada; tatunio *submitują* się honorem, że panu sąsiadowi bynajmniej nie ubliżą, na uczciwość; zemsty na niego nie pragną wcale, a gdyby pan sąsiad nie chciał dać mi wiary i miał jaką obawę, to ja mam tu pozostać, dopokąd pan sąsiad nie będzie z powrotem.«

»Ba jeszcze co,« fuknął Chebda, »takiego szarapetkę zakładnika nie potrzebuję, ani mi tak pilno do zgody. Proces rzecz nie nowa u mnie, nie chcę zgody; jeżeli tatunio twój widzieć mnie rad, zobaczym się przed kratą sądową; powiedz tatuniowi, że między nami nié ma zgody.«

»A czemużto pan sąsiad nie chce nachylić się do zgody, której tatunio tak pragną? mówiłem wam, że są chorzy, i dla tego przysłali mnie do was.«

»A jam nie doktor żaden, ani ksiądz, abym jechał do chorego.«

»Więc taka pana sąsiada ostatnia rezolucyja?« zapytał młodzianek.

»Taka.«

»Tatunio będą mieli żal do pana sąsiada, może i wy, panie sąsiedzie, pożałujecie tego.«

»Patrzajcie go, jakie mi małe, a zuchwałe; nie potrzebuję żadnych poselstw; sprawiłeś swoje, teraz ruszaj. Krzyż na drogę!«

»Bogu was oddaję!« rzekł młodzian.

I jak przyjechał, odjechał; u upartego panka nic nie sprawiwszy.

Chebda wezwaniem tém Frydrychowskiego rozjątrzony na nowo, po staremu jął wygadywać na sąsiada, zarzekając się, że choćby cały majątek miał pójść na proces, póki życia nie przystąpi do zgody.

Stary Jezierski, dawszy mu się wygadać do woli, dopiéro zaczął nieśmiało z razu i ostrożnie czynić mu refleksyje, a mądrą i powolną perswazyją tak skonwinkował Chebdę, że już przychodziło do żalu jemu, że Frydrychowczyka młodego odprawił tak z kwitkiem. Jezierski tyle nawet dokazał wymową swą, że Chebda jął żałować szczérze, iż nie uczynił zadość prośbie Frydrychowskiego. I gdyby w synie tegoż miał zakładnika w domu i zabezpieczenie, że mu się nie stanie nic złego, niechybnie byłby pojechał do sąsiada. Do tego stopnia on uparty grzésznik, do upamiętania się reflexyjami Jezierskiego naprowadzony został. Ale grzésznik każdy, jeżeli pragnie nawrócić się na drogę prawości, a widzi ją zamkniętą, niech upatruje w tém już karę boską, która jako cień od ciała, tak nieodstępna od grzechu jest, właśnie jakoby z nim połączona węzłem nieśmiertelnym.

Po zachodzie już było, siedział Chebda przy stole wieczornym, i zajadał smaczno; nie tak Jezierski, ten przechadzał się po izbie, turbacyjami jakiemiś trapiony.

»Porzuć już Jegomość te gorzkie żale; bigosik z jabłkami wyśmienity; otóż raki nam niosą... siadajno Jegomość, siadaj, każę poszukać w piwnicy, może się tam znajdzie jaka butelczyna.«

Temi słowy proszony odrzekł: »Dziękuję panu Franciszkowi. Dzisiejsze wypadki nie mogą mi wyjść z głowy, i bodajem był fałszywym prorokiem; ale nie przewiduję ja z tego nic dobrego.«

»Z czego? żem się nie stawił na rozkaz pana Frydrychowskiego.«

»Frydrychowski nie rozkazywał, ale prosił grzecznem słowem.«

»Co się odwlecze, nie uciecze.«

»Bodajby się sprawdziło to przysłowie.«

»A *supplikuję*, jakaż może ztąd wyniknąć zła *konsekwencyja*, jeżeli pojadę jutro tam, gdziem dziś jechać omieszkał?«

»Pojedzie pan Franciszek? czy tylko pewnie; proszę mi dać rękę na to.«

»Zaraz, zaraz; nie widzi Jegomość, że teraz mam do czynienia z rakami; to moja faworytalna potrawa, szkoda tylko, że się biédne tak męczą, nim je ugotują.«

»He, he, panie Franciszku, czy mi się zdaje... dzwonią.«

»Do bizona! ktoś umarł; we wszystkie uderzyli dzwony.«

A rzeczywiście dało się słyszeć głośne dzwonienie na wieży parafijalnego kościoła.

»Hej, jesteś tu,« zawołał Chebda na hajduczka, »postaw talérz, a skocz co żywo na plebaniją i dowiédz się komu to dzwonią, i wracaj... jeszcześ tu?«

Pobiegło chłopię i za chwilę nie długą wróciło z nowiną, że pan Frydrychowski, dziedzic na Frydrychowicach, nagle pomarł.

Jezierski złożył ręce do pacierza, na środku pokoju ukleknąwszy, zaczął mówić Anioł Pański za umarłym.

Chebda głęboko się zasmucił. Nie było już tam ochoty do jadła, ani do żartów. Zbladł i zsiniał, jak ten obrus na stole, przed którym siedział. Wielka żałość opanowała duszę jego i smutek wielki. A w izbie tak cicho się zrobiło, iż muchebyś słyszał przelatującą. I długo tak było. Chebda piérwszy przemówił:

»Mam prośbę do Jegomości. Czy Jegomość będzie taki dobry i pojedzie ze mną tam?«.

»Rozumiém,« skinął głową Jezierski.

Chebda rozkazał co tchu zaprzęgać do kolasy— alić oto hajduczek przybiegł z tém: że podstarości, zabrawszy w zawiniątko odzież swoję wszystką i bieliznę, wsiadł oklep na konia cugowego, i drapnął, jak się zdaje, na piękne.

Ta nowina kiedy indziéj gniewu byłaby powodem, teraz nie tyle gniewu sprawiła, ile niepokoju i obawy, budząc w sercu okropne domysły, ażali on, tak nagle zbiegający podstarości, nie jest winien téj śmierci Frydrycho skiego? ażali tym wystrzałem nie poranił samego pana? a co okropniejsza, ranieniem śmierci nie zadał?«

Jezierski dopadłszy téj samej myśli, struchlał ze zgryzoty i przestrachu, i piérwszy uczynił reflexyję, iż w takowym razie rozsądek nie radzi, jadąc do domu nieboszczyka, wystawiać się na widoczne, jakie tam jego wolności, a może i życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Ale Chebda nie dał się żadną miarą odwieść od tego: »Niech się stanie, co chce!« rzekł. »Cokolwiek mnie tam spotka, przyjmę to wszystko, jako chłostę od Boga za grzechy moje.«

Wsiedli do kolasy i pojechali. Jezierski modlił się przez całą drogę. Chebda siedział, jakby go nie było w pojeździe.

(Dokończenie nastąpi.)

SCENA
PRZED SĄDEM PRZYSIĘGŁYCH
w *Old-Bailey*.

Dnia 24. maja b. r. sąd przysięgłych w Old-Bailey, w Anglii, miał bardzo ważną sprawę kryminalną do roztrzygnienia, któréj osnowa z następujących badań najlepiéj się wyświeca, i niepodobna, aby serca ludzkiego nie wzruszyła. Oskarzony jest malarzem portretów Jerzy Hammon.

Sędzia. »Imię twoje, wiek i sposób do życia?«.

Obwiniony. »Nazywam się Jerzy Hammon, mam lat 41, jestem malarzem portretów.«

S. »Wiész o co jesteś obwinionym? Zabiłeś tancerza na linie Jana Baldwin. Czy uznajesz się być winnym téj zbrodni, albo nie?«

O. »Prawda, że go zabiłem. Byłoto moje nieszczęście, które opłakuję, lecz w sercu i sumieniu mojém nie czuję się winnym.«

S. »Po takowem wyznaniu możesz siąśdź. Współobywatele twoi, parowie, sądzić cię będą. Bóg niech będzie tobie obroną.«

W tém miejscu pisarz sądowy odczytał akt oskarzenia, a najstarszy adwokat wnosił, że lubo jeszcze żaden oskarzony, na większą nie zasługiwał litość, zostawiając to jednak łasce królewskiéj, żądał skazania winowajcy na karę, z oświadczeniem, że prawo nikomu nie pozwala być sędzią własnéj krzywdy.

Na zapytanie sędziego, czy obwiniony ma jeszcze dodać co na swoję obronę, oświadczył, że czuje potrzebę, raz jeszcze opowiedzićć w krótkości całą swą sprawę:

»Trzy lata już minęło, jak utraciłem dziecię, córeczkę, ledwie czteroletnią, jedyny zakład miłości najdroższej małżonki, która już na łonie Boga spoczywa. Utraciłem dziecinę tę nie przez śmierć, jak jéj matkę— lecz zniknęła mi — ukradziono ją!... Byłoto śliczne dziecię; prócz niéj nie miałem nikogo na świecie, ktoby tyle mnie kochał... O moi panowie! co ja ucierpiałem... Nie, nie powiem wam tego, wybyście mnie nawet nie zrozumieli. Na same ogłoszenia przez dzienniki, nad aremne poszukiwania dziecięcia mego, utraciłem wszystko, co moję własność stanowiło; sprzęty, obrazy, moję zbiory, wszystko sprzedałem. Trzy lata, sam jeden pieszo, trzy lata biedny ojciec, przebiegałem wszystkie wsie, najmniejsze zagrody trzech królestw, wszędzie córki mojéj szukając, lecz zawsze nadaremnie! Nakoniec dnia 14. kwietnia, byłoto w piątek, przechodzę przez Smithfield i w środku rynku spostrzegam widowisko tancerzy na linie. Dziecię głową postawione na szpicu halabardy, obracało się młynkiem... promień duszy matki jego musiał przedrzéć się w tém oka mgnieniu do mojéj... byłoto moje biedne dziecię!... Gdyby matka ujrzała je była w tym stanie, rzuciłaby się na nie — aby je uściskać!... ale ja — ja rzuciłem się... na człowieka — i nie wiem, jak się stało, z natury słaby i łagodnego charakteru, porwałem go przecież za ubior jego tancerski — podniosłem silnie w górę — i rozbiłem o ziemię... tak, iż zaraz został bez życia!... Poźniéj gniewałem się sam na siebie, że mogłem być tak dzikim, lecz w owéj chwili, wściekałem się od gniewu, że go nie więcéj razy — tylko raz jeden zabić mogłem!«

S. »Ależ podobne wyznania nie są godne chrześcijanina, lubo tak łatwe do pojęcia. Dla twego własnego dobra nie wypadało ci wynurzyć się tu z niemi. Jakże chcesz, aby ci Bóg i sędziowie twoi przebaczyli, kiedy sam nie umiesz przebaczać?«

O. Nie wiem, dostojni sędziowie, jaki na mnie wydacie wyrok, ale za prawdę pewny jestem, że mój Bóg już mi przebaczył. Wy nie wiecie, ja sam nie wiedziałem wszystkiego, jak dalece wielką ten zły człowiek wyrządził mi krzywdę! Ale gdy ludzie miłosierni przyprowadzili mi córkę moję do więzienia — nie była ona już tak piękna jak dawniéj — usłyszałem z jéj ust grubiańskie przeklinania, ujrzałem ją wynędzniałą, sponiewieraną... i zhańbioną przez niegodziwe obchodzenie. Ona mnie nawet nie poznała... córka moja, nie poznała mnie!... Czy pojmujecie mnie teraz, sędziowie? Uśmiech anielskiéj duszy mego dziecięcia, on mi ukradł, ten nędznik!... a ja — ja tylko raz mogłem go zabić!«

Prezydujący przysięgłych do sędziego. »Milordzie, nasze przekonanie już jest zgodne.«

Sędzia. »Pojmuję to dobrze, zacni panowie, ale prawo musi być zachowane. Proszę piérwéj wysłuchać mego wniosku, a potém udać się do sali obrad.«

Tak się też stało; lecz przysięgli, wyszedłszy zaraz na powrót, wyrzekli: »*Jerzy Hammon jest niewinny!*«

Jerzy Hammon musiał być pod strażą do domu odprowadzonym, bo kobiety na rynku zgromadzone na rękach w tryumfie odnieść go chciały.

KOZACY DOŃSCY.

(Z dzieła M. Grabowskiego: *Literatura i krytyka.* Wilno r. 1837, str. 18 do 21. Część II.)

Od ujść Aksaju do teraźniejszéj gubernii woronezkiéj, wgłuszy lasów, między nieprzebytemi błotami, rozsiane były małe umocnione punkta, jedyne wtedy osady kozackie, znane pod imieniem *grodzisk.* W tych gródkach, złożonych z kilku chat, albo ziemlanek, Kozacy wiedli życie zupełnie jak na pochodzie, starając się jedynie mieć jaki taki przytułek i ochronę od niepogody i słoty. »Niechaj,« mówili, »płomień najazdu strawi nasze gródki; za tydzień zapleciemy nowe płoty, nabijemy je ziemią, pokryjemy wierzch izb i gródek stanie gotów. Prędzéj sprzykrzy się nieprzyjacielowi palić nasze liche siedziby, niżeli nam je odnawiać.« Konieczność ochowania życia ucieczką w oddalone miejsca, była źródłem kozactwa. Z pozyskanego bezpieczeństwa wyradzała się potém żądza zemszczenia się nad wrogami i uczucie zupełnéj niezawisłości. Ta niepodległość, zdobycze, wzrastanie w siłę towarzystw, nakoniec osiadłość, dały poznać nędznym wprzód zbiegom powab *kozackiego* życia. Ciemny i gruby piérwej niewolnik, drżący przed batogiem, jeżeli nie przed mieczem Tatarzyna, łżony, zniewažany, teraz wojak, z mieczem w ręku, na rączym koniu, swobodny jak wichr stepowy, sławiony w pieśni, równy swym towarzyszom, czyż mógł ten zbieg nie przylgnąć całém sercem do kozackiego bytu? Najpiękniejsza branka była jego żoną, najbogatsza materyja między zdobyczą, odzieniem, najlepsza broń wroga, orężem. U Kozaka widziałeś zbiór odzieży i uzbrojenia rozmaitych narodów: Nogajskie albo czerkieskie siodło; krymski albo turecki czaprak; czerkieska opończa; ruska strzelba, oprawna po turecku, przy niéj róg do prochu; perska szabla; za pasem nóż bułatny, oprawny w trzonek z rybiego zębu; turecki sajdak i rohatyna; taki był strój Kozaka. Pokolenia rosły przy szczęku oręża i zgiełku bitwy. Spiéwając: »*Ty żegnaj, zdrów bywaj cichy Donie-Iwanowiczu!*« Kozak płynął pod Azow, Trapezund, Synopę, *żupanu się dobijać;* odjeżdżał do Krymu, na Wołgę, na Jaik; umiérając w bitwie, całował garść rodzinnéj ziemi, którą nosił przywiązaną na piersiach i posyłał *wieść pożegnalną* żonie, błogosławieństwo dzieciom i dobrym towarzyszom; jeżeli wracał szczęśliwie, dzielił się zdobyczą, hulał i nie troszczył się o dniu następnym. Dziecię jego bawiło się orężem. Kozaczka walczyła z napadającemi na grodziska. »Ty piszesz do nas (odpowiadał ataman doński Mniajew Girejowi Krymskiemu, »ty piszesz do »nas Chanie Murat-Gireju: jeżeli tego, cośmy zabrali »za Perekopem i w innych miejscach, nie odeszlemy, to »będziesz swoich ludzi słał nieprzestannie, i każesz na »nasze trzydzieści dwa gródki uderzyć i spokoju nam »nie dasz ani wiosną, ani latem, ani jesienią, ani zimą, »a sam najdziesz z wielką mnogością ludu na nasze gródki »wojną, po lodzie, zimową drogą; dla tego donosimy »tobie, że nasze gródki niekorzystne oplecione płotami, »poobtykane cierniem — dostawać ich trzeba nakładając »głową, a stad u nas końskich i bydląt mało. To szkoda »wam w daleką się drogę zapędzać!« Takowe życie było, takowy duch *kozactwa.*

Z Warszawy. W Nr. 21. *Tygodnika rolniczo-technologicznego* czytamy co do treści następujące, wyjęte z *Gazety porannéj:* Zdanie o dziele P. Bełzy nie dawno wyszłém: »*O wyrabianiu cukru z buraków.*« P. Józef Bełza, magister filozofii, ob. prawa i administracyi, profesor chemii i technologii w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie i t. d., przysłużył się literaturze krajowéj w bieżącym roku nowém dziełem, obejmującém w całości przedmiot o wyrabianiu cukru z buraków. Ważna ta gałęź przemysłu wiejskiego, obfita w pomyślne wypadki, przedstawiające znakomite ulepszenia w uprawie roli i niezawodne korzyści dla przedsiębierców, zwróciła od lat kilku uwagę naszych kapitalistów i właścicieli ziemskich. Pragnieniem jest ich bez wątpienia powziąć o niéj wiadomości dokładne, po dziś dzień znane, uzasadnione praktyką i teoryją; pragnieniu temu czyni zadość dzieło P. Bełzy. Składa się ono: 1) z *części agronomicznéj,* 2) *części fabryczno-chemicznéj,* oraz 3) z *części o nakładach na cukrownią buraków, o kosztach jéj utrzymania i zarobku,* gdzie gromadzi liczebne wypadki, powzięte z fabryk Austryi, Polski, Francyi, Czech i Rossyi, a przytém wszelkie najużyteczniejsze z nich kombinacyje, zastosowane do naszego kraju, w tabelarycznym związku naocznie okazuje. Czytający przekona się między innemi, jak obszérne i obiecujące jest pole zysków w zawodzie téj pięknéj gałęzi wiejskiego przemysłu. Autor nie szczędził tu usilnéj swéj pracy, przejętéj dokładną znajomością rzeczy, tak, iż część ta stanowi rzetelną dla publiczności przysługę. Część ostatnia mieści opis machin i aparatów, służących do utrzymania cukru z buraków. Tymto sposobem książka przez P. Bełzę wydana, stała się i naukową i popularną, a zatem nader pożądana dla gospodarzy, przedsiębierców, lubiących nauki, profesorów technologii i uczniów klass wyższych.

Z listu z Pragi. Na tegoroczném wystawie obrazów w akademii malarstwa w Pradze, znajdowały się między innemi następujące godne uwagi obrazy: 1) *Wojownik husycki,* przez Keila, wyborny obraz. 2) *Śty Wacław* jako dziecko do mszy ś. służący i 3) *S. Ludmiła* z książęcym orszakiem, oba przez Kadlika, dyrektora akademii, ze szczególnym urokiem wykonane obrazy. 4) *Dziękczynienie cesarza Fryderyka Jerzemu Podiebradzkiemu,* królowi czeskiemu, za pomoc daną mu przeciw rokoszanom w Wiedniu, obraz Ant. Machka. 5) *Założenie Pragi przez księżnę Libuszę,* obraz Merniaka. 6) *Amazonki czeskie w nocy koło obozowego ogniska,* przez tegoż. 7) *Szarka, amazonka czeska oszukuje Ctirada, władykę czeskiego,* przez Kracmana. 8) *Dalibor, czeski szlachcic w więzieniu,* ktory z nędzy grać się na skrzypcach nauczył; przez Szyra. Z.

W Serbskim Belgradzie wyszedł *serbski noworocznik na rok* 1837, pod nazwą: *Urania* (str. 285). Do ciekawszych jego artykułów należy powieść: *Krystyna Mylordowa,* napisana przez Annę Jefremównę Obrenowiczównę, szesnastoletnią córkę Jefrema Teodorowicza Obrenowicza, jenerała majora i kawalera tureckiego orderu, rodzonego brata księcia serbskiego Miłosza. Z poezyj wyszczególniają się twory Antuna Mihanowicza z Petropola, ces. ks. austryjackiego konzula w Księztwie Serbskiem, mieszkającego w Serbskim Belgradzie, i Szymona Milutynowicza, pierwszego serbskiego poety. Przy tytule dołączony jest wizerunek cesarza rossyjskiego Mikołaja, a w końcu znajduje się spis przedpłacicieli, na których czele umieszczony turecki pasza Belgradu (którego imię wyrażone pismem tureckiém). Jestto zjawisko ze wszech miar godne uwagi.

Rossyja zawiera 2.000 miast, 1.500 warownych miejsc, a 300 000 wsiów. Państwo rossyjskie obejmuje teraz blizko półtora milijona Żydów, których w samej Warszawie jest 34 000.

Baron Rothschid w Paryżu ma zamiar na dziedzińcu pałacu swojego kazać wystawić brązowy posąg Merkurego, w wielkości naturalnéj.

Podczas tegorocznéj paryzkiéj wystawy sztuk pięknych w Louwrze, oddawano oddźwiernemu do schowania 200.000 deszczochronów i lasek, za których pojedynczą sztukę płacono 2 *sous,* co zrobiło temuż 20.000 fr. dochodu.

Kto z kobietami jeździć lubi, niech się do Szwecyi uda, tam ony zastępują miejsce postylijonów. Podróżnik zdziwi się nie pomału, gdy tam na stacyi pocztowéj zastanie młodą i bardzo często ładną dziewczynę, która bez wszelkiéj ceremonii siada przy nim, bierze za cugle i sama jedna pędzi z nim przez najodludniejsze lasy. Ubior tych postylijonek składa się w lecie li z białej jak śnieg koszuli, chustki i lekkiéj sukienki. Po domach zajezdnych w Szwecyi także dziewczęta usługują.

W Sheffield żona aktora uciekła nie dawno z adwokatem. Stróże nocni jeszcze przed ucieczką domyśliwając się zamysłu kochanków, z największą pilnością strzegli domu zagrożonego małżonka, jakoż przed samym domem schwytali zbliżającego się doń — męża aktorki, podczas gdy kochankowie już daleko byli za miastem.

Jedna z gazet amerykańskich przy każdém doniesieniu o śmierci przytacza zwykle imię lekarza, który pacienta miał w swojéj opiece. Wiadomość tę umieszcza, pod tytułem: *Cause and effect* (Przyczyna i skutki.)

W nauczaniu ptaków rożnych sztuk, Chińczycy szczególną mają biegłość. Kanarki przyprowadzają do téj zmyślności, że te umieją panom swoim przy czytaniu kartki w książkach przewracać.

Pomiędzy czynnościami szaleństwa, którym duch schorzały wielu dzieci Albionu poddawał się systematycznie ku końcowi zeszłego wieku, tak zwany klub splenistów był bez wątpienia najgłośniejszym. Kilkudziesiąt na splen chorujących panów angielskich wpadło na myśl założenia w Londynie klubu według swoich zamiarów. Zaledwo się rozgłosiło, że świątynia *duchowi ponurego humoru* wzniesioną będzie, zgraje dyletantów téj słabości ubiegały się o względy zostania przyjętymi do przyjemnego towarzystwa zasępionych ludzi. Założyciele jednak bardzo byli trudni w wyborze członków klubu i tylko znaczenie mających i zakomitego rodu splenistów przyjmowano. Chcąc dostąpić tego zaszczytu trzeba było zajmować świetne stanowisko w społeczeństwie i przez przypadki doznane na wielkim świecie, przez przesycenie się w zbytkach, nabyć téj umysłowéj słabości. Trzeba było także udowodnić, że wszelkie przeciw niéj używane środki były bezskutecznemi, i że jest niewyleczoną. Z powodu tak trudnych warunków mało tylko kandydatów mogło być do tego klubu przypuszczonych i ograniczył się on na liczbie trzydziestu członków. Skoro się ukonstytuował, zgromadzili się składający go hipochondryści, dla naradzenia się nad zamiarami towarzystwa. Każdy członek po kolei miał mowę ponurym głosem, a po rozprawach aczkolwiek nie bardzo żywych, ale jednak głęboko w rzecz wnikających, uchwalono wynalezienie środka, mogącego oswobodzić od téj śmiertelnéj choroby próżnujących pasibrzuchów. Schorzały duch, przewodniczący na obradach tych nieszczęśliwych, aż nadto jawnie okazał się w uchwale, znaczną większością przyjętéj. Postanowiono, ażeby corocznie dwom członkom udzielono pozwolenia oddalenia się z tego świata, co oni w niedorzecznem swojém mniemaniu za wielką uważali łaskę. Uchwałę tę tak punktualnie co pół roku jeden z członków samobójstwem wykonywał, że w końcu stała się ona nieodzownym w statutach klubu artykułem. Ponieważ niektórzy członkowie odbierając sobie życie żadnych z prostéj linii nie zostawiali potomków, najczęściéj więc majątek swój zapisywali klubowi. Z tąd zakład ten stał się bardzo bogatym i miał między innemi przed bramami Londynu i tuż na samym brzegu Tamizy, przepyszny pałac, gdzie zebrane były wszystkie urządzenia zamiarowi towarzystwa odpowiednie. Tam przesycony życiem szaleniec znajdował to wszystko, czém tylko rzeczywistość i poezyja w sztucznem zebraniu uprzedzić go mogły. Lecz ten w szaleństwie poczęty, a przez niedorzeczny upor czas niejaki utrzymywany klub, nie trwał długo, jak wszystko, co jest rozumowi przeciwne i rozwiązał się po niejakim czasie. Na miejscu gdzie stała niegdyś poświęcona splenowi świątynia, wznosi się teraz najpierwszy w angielskiéj stolicy browar.

Szarletaneryja paryzka. Jeden z perukarzy paryzkich, do sprawiającéj rośnienie włosow pomady przydał następującą receptę: »Bardzo się trzeba wystrzegać, ażeby bez rękawiczek nie używać téj pomady, bo inaczéj można się obawiać, iżby włosy przez noc na dłoni nie wyrosły.« Przypominamy w tém miejscu podobne kuglarskie doniesienie pewnego znowu paryzkiego fryzyjera, o którym Börne w swoich *Obrazach Paryża* wspomina: Na wystawie przed jego oficyną wyobrażone jest drzewo, na którém, zeskoczeniem na dół ratujący się przed śmiercią Absalon, za włosy się zaczepił. Pod tym pociesznym wizerunkiem znajdował się następujący, przechodzących do kupowania peruk zachęcający napis:

Contemplez d'Absalon le déplorable sort,
S'il eût porté perruque, il évitait la mort!

Anegdota z życia Walter Scotta. Ciekawość małżonki Walter-Scotta była jednego razu bardzo na próbę wystawioną przez pojawienie się pewnego człowieka, który po same oczy owinięty płaszczem, co wieczora przybywał i prowadzony zaraz do gabinetu jéj męża, często bawił tam dłużéj nad czas zwykły udawania się familii na spoczynek. Scott zapytywany o to od żony, dawał zbaczające odpowiedzi, co tak dalece wzniecało jéj ciekawość, że wytrzymać już nie mogła. Pewnego wieczora, usłyszawszy dzwonek, będący znakiem, że nieznajomy miał się oddalać, mimo zakazu weszła z tacą w ręku do gabinetu męża, i udała, jakoby przyszła panów, którzy tak długo z sobą bawili, poczęstować herbatą. Obcy, starzec ujmującéj powierzchowności i ładnie ubrany, ukłonił się i przyjął podaną sobie herbatę, ale Scott, zmarszczywszy czoło, z niechęcią filiżankę odsunął. Po chwili oddalił się nieznajomy, a Walter-Scott otworzył okno, porwał za jego filiżankę i daleko cisnął ją na podwórze. Gdy pani Scott uskarżała się na stratę tak drogiéj porcelany, odrzekł jéj małżonek: »Ciekawość twoję, kochana żono, przebaczę ci tą razą, ale jednak ukaraną być musiałaś. Mogę dla interesów przyjmować u siebie niektóre osoby, lecz nie zawsze są one godnemi, by je za gości małżonka moja uważała. Ani moje, ani niczyje z mojéj familii usta nie powinny dotykać się téj filiżanki, któréj się usta pana Morray de Brougton dotknęły!« Obcy ten byłto ów zdrajca, który nieszczęśliwemu Karolowi Stuartowi (w ciągu ostatnich lat jego, około r. 1788) towarzyszył jako sekretarz i wiedział o zamachach pretendenta do odzyskania tronu, a który poźniéj, dla ocalenia życia i majątku, przeciw stronnikom swojego pana jako świadek wystąpił. Scott sprowadzał go do siebie dla powzięcia od niego historycznych wiadomości, z których do swojego *Wawerleja* korzystał.

Kolor ócz. Wielu twierdzenie to nasze dziwnem zdawać się będzie: że kolor ócz wywiera wpływ na moc ich wzroku. Lecz w istocie tak się rzecz ma i nie podpada wątpliwości, że mający ciemne lub czarne oczy powinni to sobie brać do serca, iż takie oczy są słabsze i łatwiéj cierpieniom ulegają, niźli błękitne lub siwe. Jasno-błękitne oczy mają zwykle najmocniéjszy wzrok, a zaraz po nich następują siwe. Im jaśniéjszą jest źrenica, tém większe i wytrwalsze natężenia oko wytrzymać jest w stanie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*